

E. GRABOWIECKI.

Na pozycjach przed Warszawą.

Zwycięska armia bolszewicka zakreśliła łuk przed Warszawą.

Wojsko nasze stoi naprzeciwko półkregiem, jak naciągnięta do strzały cięciwa. Stolica jest ośrodkiem napięcia.

Stolica... symbol władania krajem.

Wszystkie myśli i wszystkie uczucia z całej Polski tu się zbiegają: w tej godzinie Warszawa i Polska to synonimy.

Kraj jest pod wrażeniem grozy. Utracenia nasze biją z oszalałą szybkością w naród. Jeszcze umysł nie oswoił się z jedną klęską, kiedy spada druga, ta wiąże się z następną i tak nieprzerwanie, że stoimy w obliczu jakowejś potęgi niesamowitej, kreślącej nieubłagane na ziemiach naszych krzyż zaprzeczania.

A przecież naród czuje w sobie siłę, której tylko nie może, nie umie, nie zdąży wyzwolić.

I to jest tragizm chwili.

Wojsko nasze strumieniem nieustannym płynie i płynie przez Warszawę naprzeciw bolszewickiej fali. A ona nie tylko rośnie i wzbiera, ale zalewa Polskę. Czy wchłania nasz opór?

Wszystkie wysiłki zdają się spóźnione — zarządzenia rządu i postanowienia narodu.

Kryzys nieubłagania się zbliża.

14-go sierpnia podmiejskie okolice zostały opróżnione z ludności na rozkaz generała-gubernatora okręgu Warszawy.

Stolica zapała oddech, zalekła i wątpiąca: czy obronią?.. nasze orlecia gnane zawieruchą czerwona, czy u progów gniazda zdołają zwrócić się i ostre szpony wbić w serce najeźdźcy, bo walka będzie na śmierć i życia, bez pardonu?

A tu cisza straszliwa bezczynnością wojenną.

Aż nagle, w nocy z 13 na 14 sierpnia zagrzmiły dalekie działa polskie — obrończe. Narazie! Bronimy się!

I huk dział uspokoił znekane nerwy stołecznej ludności.

Tak było wczoraj.

Takim był początek zmagania się o życie praworządnej, do rdzenia demokratycznej Polski, przeczyszczonej w miłości Ojczyzny z bolszewicką zbrodnią, łupieżczą, zaborczą i plugawą.

W okopach przed Warszawą spoczął los Polski, a żołnierz bój wiodący stał się jedynym wykładnikiem woli narodu ku zachowaniu wolności i praw boskich i ludzkich.

Do tego żołnierza i do tych okopów zdążają rządce narodu — ministrowie.

15 Sierpnia.

Dzień cały w słońcu i promieniach.

Tuż za miastem zaczyna się strefa wojenna. Ciągłą nieprzerwanym łańcuchem tabory, wozy z amunicją, drobne oddziały wojska. Niezadługo ostatnie przed Warszawą okopy obronne. W nich polska kobieta, żołnierka.

— Cześć!

Prężą się służbowo, ogień ma w oczach, a dumę rycerską w postaci: — Cześć!

Warszawiak, znakomity strateg u Loursa, wyobrażający sobie wojnę w ruchu, kurzawie, tłoku, jak ją widywał na obrazach batalistycznych, lub w straszliwych konwulsjach, jeżeli nie daj Boże, oglądał reprodukcje wojny Goyi, w huku pukawek pyrotechnicznych, widowiska teatralnego „Bitwy pod Racławicami”, znalazłszy się tu, w unormowanym, spokojnym ruchu pozafrontowym, traci zupełnie swoją nerwową „orientację”, jest, mówiąc gwarą od waszecia „zbity z pantafiku”.

Niefrasobliwy żołnierz z przewieszonym karabinem na plecach idzie, ani się spiesząc, ani ociągając, idzie tak, aby zdążyć na oznaczoną sobie godzinę i bój rozpocząć na wskazanym sobie odcinku. Ani trochę zdenerwowania, czy niepewności. Idzie i pogwizduje.

— Czy to tak zawsze podąża się ku pozycjom?

— Ej, nie — odpowiada żołnierz — tu jest porządek.

Porządek — z tem słowem ulga wstępuje w duszę słuchającego, jakby w ciemnie jego bojaźni padł jeden z tych złotych promieni sierpniowego słońca.

Porządek...

Jesteśmy w kwatery generała Junga. Na stole mapa. Wokoło skupiliśmy się i słuchamy, jak generał mówi o planie bojowym na najbliż-

sze dni. Mówi zaś z takim spokojem i pewnością, jak matematyk o rozwiązywanym zadaniu. Generał ocenia wartość każdego oddziału swego wojska i wartość przeciwnika; zna teren wysmienicie.

Kiedy tak mówi, zaczynamy pojmować porządek spieszących taborów z materiałem bojowym i niefrasobliwość ku walce spieszącego żołnierza: to wartość dowództwa, w które armja wierzy.

W ogrodzie wiśniowym, który widzę przez okno, stoją ule pszczelne. Pracowite pszczoły znoszą pyłki kwiatów na miody. W przerwach, kiedy generał przestaje mówić, słyszę pszczoł brzęczenie.

Obok mnie stoi porucznik czerniały, spalony, weteran tej wojny.

— Sielanka — mówię, wskazując na obrazek za oknem.

— Wolałbym stać nad Berezyną i tej sielanki nie oglądać zgoła.

Gorzko zabrzmiąły mi te słowa...

Jedziemy dalej ku pozycjom.

Dalekie salwy armat z prawej strony się ozwały.

Generał nasłuchuje.

— Aha! w NN. Zbierają się na przedpolach, ale ich rozstrzelamy. Natomiast w ZZ. około 11 w nocy będziemy atakowani — uśmiechnął się — Tym nie przeszkodzimy się zebrać.

Jak zadanie matematyczne, zaczyna się rozwijać nasza obrona, jak zadanie...

Na przejeździe kolejowym spotykamy pancerkę „Danutę”, zabiera nas i jedziemy do pierwszych pozycji, czołówek.

— „Danuta” to taki sobie swojski pociąg pancerny, samiśmy go sobie zrobili. Ale wystarczy na tę hołotę. — Objaśnił mnie porucznik, dowódca „Danuty”.

Oto i czołówki. Wsiadamy przy budce dróżnika. Paru oficerów, kilku żołnierzy, reszta w rowach.

Generał przyjmuje raport.

— Melduję posłusznie, wczoraj wykurzyliśmy dwie kompanie bolszewików z lasu, z prawej strony plantu. Dzisiaj są po lewej. Mają obserwatora na budce dróżnika, którą stąd widać o kilometr; zatem gdzieś niedaleko i baterja.

Generał patrzy w stronę lasu. — Tam?

— Tak panie generale, za chwilę rozstrzelam go pancerkę.

Idziemy bliżej ku rowom, prezydent Witos przodem. Chadza pewnie po roli, na brudzie się nie potknie. Z zamiłowaniem patrzy po ścierniskach, ku borom i hen, wyżej, w błękit, jakby miarkował ten władarz Polski, czy będzie pogoda na znojne, krwawe żniwo żęte dla przyszłości ludu polskiego...

— Jeżeli jest tam obserwator, to powinni wygarnąć do nas, ci psubraci — mówi któryś z oficerów.

— A powinni — odpowiada minister Skulski.

Spokój w nas i takie zwarcie, taki zrost z całym nastrojem boju obliczonego, pewnego wyników, że dla samych siebie z przed godziny jesteśmy teraz obcy i nie rozumiejący ani dawnej niewiary, ani lęku.

Nagły świst, jęk ziemi i o 200 kroków przed nami, nie dalej, zarył się granat i wyrzucił w górę słup piasku i kurzu.

— Sa! — Panie generale, to moja baterja, już ja ich wymacam i zabiorę.

— Wasza, poruczniku — odpowiedział generał.

Porucznik się pręży i salutuje: — Rozkaz, generale.

Mówią to bardzo prosto i bardzo spokojnie. Jakże daleką jest ekspresja teatralna od prawdy życiowej!

Tylko popatrzyli sobie w oczy, ale tak, że wiem, iż armaty już w tym mgnieniu oka wziął porucznik nieprzyjacielowi.

Daj ci Boże zdrowie, chłopaku miły!

Nowy jęk ziemi i wytrysk piasku i kurzu. Drugi strzał trafił w to samo miejsce, co i pierwszy.

— Wmierza się.

— Aha!

Kiedyśmy odjeżdżali, jeszcze dwa granaty wraże zraniły łono ziemi polskiej...

Jesteśmy w samym środku baterji ciężkich dział.

Artylerzyści pracują, jak rzemieślnicy przy warsztacie. Pracują w pocie czoła, bo i pocisk ciężki, a trzeba go dźwigać, i przetrzeć trzeba lufę, zamki pozamykać i przytem dzień skwarny. Pracują, jak kółka w zegarku. Salwa baterji z prawej strony. Upływa parę chwil — salwa z lewej strony; znowu po paru chwilach, ciężko odetchnie i wypłunie pocisk baterja za nami. Pocisk ciężko uderza w powietrze i rozchełstuje jego falę. Fala powietrza przebiega wzdłuż całej mojej postaci. Przywykam tak szybko do wystrzałów, że w bardzo krótkim czasie doskonale oceniam w jakiej odległości przelatują pociski.

— Pracujecie?

— A no, panie ministrze, robactwo rozniamamy, jako dobry gospodarz, co w chacie lubi czystość.

— Szczęść Boże!

— Daj Panie Boże!

— Przywieźliśmy papierosy.

— Ot to! ot to! to żołnierzowi najlepszy przysmak.

— Przysyłajcie nam papierosy, panowie ministrowie, dbajcie o nas, a my wam przysyłać będziemy tyle tych kundli, że liczyć nie nadążycie.

— Ostrzeliwali was?

— Nie jeszcze.

Zawarczało w powietrzu, jękło; znieważona bolszewickim pociskiem polska ziemia sypie piasek w górę wysoko.

— Jest.

— Na wiwat dla panów ministrów.

Gromki, wesół śmiech wśród żołnierzy.

— Odejdźcie, panowie ministrowie, niech jeszcze o dwie działki przesunie celownik a w was utrafi.

— To i stojmy.

Bieży przez pola młodzieutki porucznik. Preży się przed generałem.

— Panie generale, w ZZ. zbierają się na atak, sądzą, że przed północą nastąpi.

— Wiem. Gotowiście?

— Wedle rozkazu.

— Rezerwy macie w B, gdyby było mało telefonujcie do mnie.

— Rozkaz. — Otarł pot z czoła i pędem się oddalił.

Tak spokojnie i tak pewnie, w pocie czoła dokonywa swoją pracą bojową żołnierz polski.

* * *

Siedzę na balkonie. W oczach mam niezmienne żywy obraz, jaki mi danem było ujrzeć w przededniu boju, którego doniosłości, ani znaczenia nikt nie może ocenić, kto nie widział i nie przeżył paru dni bodaj wśród hordy bolszewickich zbójów.

Zegar bić poczyna. Licze. Jedenastal

Czy generał...? — myślę z niepokojem.

Głuchy, daleki huk wstrząsa powietrzem, drżą mury domu.

Nie! nie chybiły obliczenia generała. Matematyk, matematyk...

Jeżeli życzenia z głębi duszy, z najwnętrzejszej istoty ludzkiego ducha mogą przynieść szczęście, a przekleństwo zgubę, lećcie moje życzenia ku rycerzom polskim, a przekleństwa walcie się zatraceniem na głowy najeźdźców...

Salwy armatnie grzmią długo, do rana...

* * *

16 sierpnia.

Jedziemy do armji generała Sikorskiego.

To samo wrażenie, jeno ogromniejsze, pełniejsze.

Miedzy Wronami a Zakroczymiem spotykamy pierwszych ciężko rannych.

Minister-prezydent Witos, ministrowie Rataj i Skulski otaczają wóz z rannymi.

Generał Sikorski dopytuje o przydział, o czym zawiadamia rannych:

— Ministrowie, pan prezydent-minister do was z pozdrowieniem i dbałością przyjechali.

Jeden z rannych uniósł głowę, z bólu pociekły mu łzy po ogorzałej twarzy, ale nie był płaczem, ani się ważyło przypuszczać coś podobnego!

Prezydent Witos ujął go za rękę.